



Marta Jarzębowska

GWIAZDY

Kryśka rzadko widywała gwiazdy.

W lecie kładła się zawsze zanim się zciemniło. A znowu w zimie, gdy noc zapada wcześniej, Kryśka mieszkała w mieście — a z miejskiego okna nie było widać prawie wcale nieba.

A Kryśkę gwiazdy bardzo interesowały. — Kryśka szalenie lubiła gwiazdy, jak zwykle to bywa, że najbardziej się lubi to, co się rzadko widuje, co jest równocześnie piękne i niedostępne.

Pewnego razu, a był to koniec sierpnia, okres w którym gwiazdy są najpiękniejsze, Kryśka postanowiła nie zasnąć aż do momentu, kiedy ukażą się gwiazdy.

I nie te blade na jasnym jeszcze niebie, ale już te wyraźne, złote — na granatowym niebie.

Trudno było nie zasnąć zaraz, po długim, pełnym wrażeń wakacyjnym dniu. Ale jak się coś tak bardzo, bardzo mocno postanowi, to zwykle się to udaje.

Kryśka doczekała się gwiazd.

Gdy było już zupełnie ciemno, wstała z łóżeczka i podeszła do okna.

Nigdy jeszcze Kryśka nie widziała takiej ilości gwiazd. Aż się w głowie kreciło i migało w oczach. Gwiazdki spadały.

— Moje kochane gwiazdki — powiedziała Kryśka. — Chciałabym widzieć, co się z wami dzieje, gdy spadniecie. Czy się przypadkiem nie potłuczecie. Czy to nie jest przykre takie spадanie z góry na dół nieba.

— Nie, kochanie — odpowiedziała jedna z gwiazd — przecież nie spadamy na ziemię, zmieniamy tylko miejsce na niebie,

A dlaczego zmieniacie miejsca? Może wam się nudzi i bawicie się w komórki do wynajęcia?

— Nie — roześmiała się gwiazdka — wcale nam się nie nudzi. Zaraz ci wytłumaczę, dlaczego spadamy. Widzisz, to jest tak, jeśli człowiek patrząc na spadającą gwiazdę, zdąży w czasie, gdy ona spada, pomyśleć sobie jakieś życzenie, to życzenie się spełnia. Właśnie dlatego zmieniamy miejsca na niebie.

Kryśka zamyśliła się. Trzeba wymyślić jakieś życzenie, jakie to ona ma?

— Ach powiedz mi jeszcze gwiazdeczko droga — czy te same gwiazdy, świecą dzieciom polskim za granicą, czy tam jest to samo niebo?

— To samo Krysiuniu i te same gwiazdy. Tylko na drugiej połowie ziemi widzą nas ludzie w tym czasie, gdy tu jest dzień, bo wtedy tam jest noc.

Kryśka już wiedziała, jakie życzenie pomyśli sobie. Spadła gwiazdka, Kryśka zdążyła strasznie prędko pomyśleć:

— Aby gwiazdka powiedziała wszystkim polskim dzieciom za granicą, że niebo jest wszędzie to samo i te same gwiazdki patrzą na dzieci polskie i tu i tam.

Ledwo zdążyła . . . nagle znalazła się w swoim łóżeczku i zobaczyła mamusię.

— Co ci Krysiuniu — spytała mamusia — czemu tak głośno mówisz przez sen?

— To nie przez sen, mamo. — to naprawdę rozmawiałam z gwiazdkami.

Mamusiu, śpiewasz czasem taką piosenkę o gwiazdkach — zaśpiewaj teraz.

— Ale to przecież smutna piosenka...
— To nie, proszę cię zaspiewaj.
I mamusia śpiewała:
— O gwiazdeczko coś świeciła,
Gdym ja ujrzał świat
Czemu dzisiaj gwiazdka miła

Twój promycek zbladł...
Czemu dzisiaj tak nie świecisz...
Krysia zasnęła i śniło jej się, jak gwiazdka opowiadała polskim dzieciom za granicą o Krysi, Polsce i niebie wszędzie tym samym.
Marta Jarzębowska

Historia floty polskiej

W okresie największej potęgi terytorialnej Polski, granice jej opierały się o dwa morza. Na północy o Bałtyk, na południu zaś o morze Czarne. Nad morzem Czarnym posiadała Polska porty: Kaczubę, Biały-grad zwany Akermanem, Tychynią i Oczaków. Na morzu Czarnym przez długie wieki nie miało państwo polskie żadnych trudności, żadnych wrogów. Za Kazimierza Jagiellończyka nasze zboża spławiane były na wyspę Cypr i do innych krajów. Wolność naszego handlu na morzu Czarnym, na wszystkich wodach i rzekach państwa Otomańskiego zawarowana była czterema traktatami.

Inaczej przedstawiały się sprawy na Bałtyku. Duńczycy trzymali klucz do morza Bałtyckiego, będąc posiadaczami Sundu i obu Beltów. Uważali się tedy za uprawnionych do wszechwładnego rozkazywania.

Szwedzi posiadali silną flotę, a zajmując obszerny brzeg, również dążyli do absolutnego panowania na Bałtyku.

W końcu handlowy związek niemieckich miast nadbałtyckich (t. zw. Związek Hanzeatycki) przywłaszczył sobie cały handel morski i w ten sposób panował nad narodami, którym dostarczał produkty. Przedstawicielem tego Związku na Bałtyk był przede wszystkim Gdańsk.

Za Zygmunta Augusta wybuchła wojna o Inflanty. Szwedzi zabierali Polsce zamki, król postanowił zabierać im okręty.

Tomasz Sierpnik został mianowany admirałem. Miał on rozkaz zabierania broni, żywności i innych towarów tym, którzy dowozili do Inflant. Szwecji i krajów rosyjskich. Wszelką zdobycz uznawał król za własność korsarzy, pozostawiając sobie tylko dziesiątą część.

Dla zgłaszających się licznie ochotników utarła się nazwa „frejbiterów”. Powoli zwiększała się liczba polskich okrętów, aż w końcu piętnaście okrętów rozwinęło polską banderę. Dołączył do nich swoją flotyllę, złożoną z trzech okrętów książę pruski. Początkowo więc powstała

flota ochotnicza. Od roku 1554 złożona z „frejbiterów”.

Od roku 1563 Gdańszczanie otrzymali rozkaz wspierania admirała Sierpnika, a dalej urzędzenia 10 kaprów do zbierania nieprzyjacielskich okrętów. Wojna morska w owym czasie była przede wszystkim wojną korsarską.



Gdańszczanie bynajmniej nie byli zadowoleni ze wzrostu siły morskiej, podległej nie im, lecz polskiemu królowi. Naskutek tego powstał głośny zatarg, między królem a Gdańskiem. Z błahego powodu walki o kurę na rynku. Gdańszczanie złapali jedenastu „frejbiterów”, kazali ich ścinać, a następnie głowy ich umieścili na słupach przy drodze do Gdyni.

Zatarg ten skończył się tym, że burgrabia i miejskie stany przeprosiły króla na klęczkach w senacie 23 lipca 1571 roku w Warszawie i wypłacili grzywnę: sto tysięcy złotych polskich w złocie oraz po cztery pieniądze od każdej grzywny pruskiej i wszystkich towarów.

Stosunki jednak pozostały wrogie i Gdańszczanie, jak się tylko dało szkodzili nowopowstałej flocie polskiej.

Duńczycy również wrogo usposobieni do naszej floty zadali jej ostateczny cios. Flota, stworzona przez Zygmunta Augusta upadła.

Dopiero za Zygmunta III powstaje no-

wa flota polska. W roku 1600 podczas wojny ze Szwedami okazała się ona niezmiernie potrzebna. W Inflantach odniesiono kilka zwycięstw lądowych, a jedno duże zwycięstwo morskie.

W roku 1625 znowu wybuchła wojna ze Szwedami z powodu utworzenia floty w Pucku i Gdańsku. Król zażądał od księcia pruskiego, ażeby w Pilawie miał cztery okręty dla obserwowania Szwedów. Szwedzi zaś pragnęli pomocy od Gdańszczan. W roku 1626 król zerwał układy ze Szwecją i kazał uzbroić w Gdańsku początkowo dziewięć, później sześć okrętów.

28 listopada 1627 roku flota polska zwyciężyła w zatoce gdańskiej flotę szwedzką. Niestety dość szybko potem posłano naszą flotę do Wizmaru i tam została ona zniesiona przez połączone floty Duńczyków i Szwedów.

Za Władysława IV powstała flota ściśle państwowa (pierwsza flota za Zygmunta Augusta była ohołniczą, za Zygmunta III — królewska).

Król powołał komisarzy dla utworzenia floty. Komisarze zjechali do wioski Radłów, położonej niedaleko Gdańska, i tam wzięli w posiadania morze w imieniu króla i narodu. Nad brzegiem morza za-

potata, wzniesiona przez nich na wysokim drzewcu chorągiew i trzy armatnie wystrzały powitały okręty polskie, zgromadzone przy brzegu.

Po ostatnim naszym komendancie na Pucku, Lanckorońskim, pierwszym w Odrodzonej Polsce naznaczony został plk. Panasiewicz. Pierwszym statkiem w Polsce Odrodzonej był „Pomorzanin“, tanio kupiony przez Rząd Polski od Niemców. Badanie dna morskiego, poprawianie i opracowanie nowych map i w ogóle pilnowanie brzegu — to służba tego okrętu.

Dziś z każdym dniem wzrasta potęga morska Polski. Gdynia, port polski nad Bałtykiem, jest dużym miastem, posiadającym 114 tys. mieszkańców.

Obecnie flota polska posiada 113 statków handlowych oraz około 23 wojennych.



Bohaterski czyn

Straszne to były czasy, gdy Turcy i Tatarzy na Polskę napadali, lupili i w jasyr, w niewolę tysiące ludzi wywozili. Toteż radość była wielka, gdy w r. 1699. podpisany został pokój w Karłowicach i postanowionym zostało, iż Turcy oddadzą Kamieniec. Wszedłszy tam, Polacy czyni prędzej zrzucali z kościołów tureckie półksiężycy i po 27-u latach milczenia zabrzmiały dzwony kościelne. Cóż to była za radość!

Dowódca turecki, który miał zdać twierdzę Polakowi Kątskiemu, wprowadziłszy go do podziemnych lochów, gdzie przechowywany był proch, rzucił lont zapalony, chcąc wysadzić wszystko w powietrze. Ale oto bohater polski, Marcin Kątski, schwytał płonący lont i mimo strasznego bólu tak długo trzymał go na dłoni, aż nie zgasł zupełnie. Z podziwem i ze złością spoglądał na to Turek, a Ką-

tski rzekł na to: „Nie tylko dłoń, rękę bym całą spalił raczej, niż twierdzę dał na zniszczenie!”

Nie dziw, iż ją tak cenił, wiedział ilu ofiarami okupiono ten pokój z Turkami, na który oni zgodzić się nie chcieli. Sam hetman Jabłonowski posłał chanowi Tatarów Girejowi 20 tysięcy dukatów, by zyskać go za poplecznika Polski w sprawie ugody pokojowej z Turkami. Gdy się dowiedział o tym syn Hetmana, zadziwił się i odezwał do ojca z wymówką:

— Ojczy, czy nie zabraknie nam majątku, gdy tak wielkie składasz ofiary? Wszakże długie wojny i tak nas już zubożyły.

A stary Hetman odrzekł na to:

— Mój synu, dla uchronienia Ojczyzny przed wojną i ciebie nawet złożyłbym w ofierze!

P. W.



— Tam na błoniu błyszczy kwiecie,
stoi żołnierz na widecie,
a Pyzina, jak malina
niesie koszyk róż.

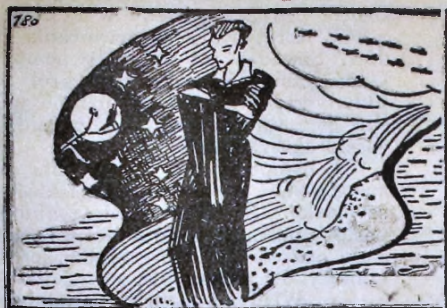


— Stój, poczekaj, moja duszko,
gdzie tak drobną stąpasz nóżką?
— Niosę kwiatów naręcz, niosę kwiatów wieniec,
idę polną drogą na piękny Krzemieniec.



O, lkwo, płynąca pośród wzgórz zielonych,
śpiewaj wieczną chwałę krzemienieckiej strony.
Polska kukieleczko, złóż niekształtne dłonie,
schyl się przed Krzemieńcem w pokornym po-
klonie!

Jak Pyza



— Wiesz, jak pięknie śpiewa w noc, po-
dolski słowik,
Żył tu człek, co śpiewał całemu krajowi,
O Polsce, żurawiach, frunących daleko.
O lkwie, o falach, które srebrne, cieką...

Literki

Raz się pokłóciły w abecadle literki,
która z nich najważniejsza.

„W” mówiło, że nie ma od niego waż-
niejszej litery, bo na „W” jest i Warsza-
wa i Wisła i Wawel i Wilno i jeszcze
wiele innych nazw. „K” oburzyło się na
to ogromnie.

— Jak to? Ja na pewno większą od-
grywam rolę — powiedział — bo prze-
cież na „K” zaczyna się Kraków, a chyba
nie ma ważniejszego miasta w Polsce.

— Ha, ha, ha — roześmiało się „P” —
a nie pomyślałeś głupia literko, że ja mo-
gę być ważniejszą literką, bo na „P” jest
Polska, Polacy, Polka — i takie piękne
miasto, jak Poznań i całe Pomorze. Na-
wet nie ma co gadać, przecież od razu
wiadomo, że „P” jest królową liter w pol-
skim alfabcie.

Obrażone „K” odwróciło się tyłem do
„P” i mruknęło pod nosem.

— Nie będę się kłócić, bo przecież sa-
ma wiem, jaką jestem literą, — bo i Ka-
towice i Kutno i Kazimierz...

Na to znowu odezwało się „B”.

— Bo możebyście sobie przypomnie-
li, że istnieje rzeka Bug i miasto Brześć,
a w Warszawie jest pałac, w którym mie-
szkał Marszałek Piłsudski — pałac ten

wędrowała



— Nie umiem tak śpiewać,
jako słowik kłaska,
lecz pójde ścieżyną,
co się wiję wąska.

się kłóca

nazywa się Belweder, chyba o tym nie zapomnieliście?

— Cóż jest ważniejszego od Gdyni — krzyknęło „G” — albo od Górny Śląska?

— A Lwów — przerwała literka „L”.

— Czyż Lwów nie ma żadnego znaczenia? Rozkrzyczały się literki na dobre. Tak krzyczały i krzyczały, że słyhać je było w całej książeczce.

I wtedy głośno, bardzo głośno odezwała się literka „Ó”.

— Przestańcie się kłócić, koleżanki, doprawdy nie ma o co, — wszystkie jesteście równie ważne, ale każde z osobna właściwie nie znaczy. Ja na przykład nie mogę się niczym pochwalić, bo żadna nazwa nie zaczyna się na „Ó”. Ale bez „Ó” nie byłoby nazwy Kraków, ani Lwów, a znowu bez „U” Bugu, bez „Y” Gdyni, bez „E” Belwederu, bez „I” Wiśły.

Widzicie więc, że wszystkie literki w alfabecie są równie ważne. Dlatego też śmieszne wydają mi się wasze kłótnie.

Literki bardzo się zawstydzily i od tego dnia nie prowadziły już takich niemądrych sporów,



Na cmentarz porośły
ziół bogatych haszczem.
Tam na grobie Matki
polski słowik klaszcze.



— Wdzięczna polska duszo matki Słowackiego,
oto skromny wianek z kwiecia podolskiego
Na wstążce się napis drobniuteńki świeci:
— matce Słowackiego — kwiat od polskich dzieci. —



Piękny spokój smutku, piękna iza zdradziecka,
Piękna góra Bony i noc krzemieniecka.
Piękne polskie drogi — blaski po nich płyną —
ldzie polska Pyza wąską koleiną.

Historia o Marysi-Znajdce

W pewnej wsi mieszkała sobie stara, biedna babuleńka. Mąż jej dawno umarł, dzieci nie miała, żyła więc sama i smutno jej było, że nie ma nikogo bliskiego na świecie.

Ale babulka była bardzo pobożna i wierzyła, że Pan Bóg może pocieszyć każdego, kogo coś trapi, postanowiła pójść do Częstochowy, by tam przed cudownym obrazem Matki Boskiej wypłakać się, pomodlić i szukać pocieszenia.

Odziała się więc w co miała najlepszego, zawiązała pod brodę białą chusteczkę i ruszyła w drogę. Wędrowka była bardzo daleka, musiała też długo iść, dzień jeden, drugi i trzeci, ale nie czuła zmęczenia, bo idąc przyglądała się cudnym widokom, jakie przed nią rozciągała ziemia polska. Jak ślicznie falowały zboża złociste, szeleszcząc srebrzyście za każdym podmuchem wiatorku, a pośród nich uśmiechały się maki czerwone i habry błękitne wzywały, jak oczy małych, ciekawych dzieci!

W dali stary las szumiał, jakby opowiadał jakieś dziwne bajki, zielona trawka zapraszała, by na niej usiąść, a przeróżne jagody aż prosiły, by je spróbować.

Szła więc sobie rażno staruszczyca i dziękowała Bogu, że taką urodą obdarzył Polskę, którą jak każdy Polak bardzo kochała.

Kiedy była już blisko Częstochowy, przechodząc pełną drogą, koło głębokiego jaru usłyszała cichutki płacz dziecka. Zdziwiona, zaczęła się rozglądać, ale nie zobaczyła, bo pustka była dookoła. Myślała, że się przesłyszała, ale płacz znowu się odezwał. Dochodził z głębi rowu.

Ostrożnie zaczęła doń schodzić i oto na samym dnie znalazła maleńkie, bardzo potłuczone, ledwo żywe dzieciątko.

Była to śliczna kilkumiesięczna dziewczyneczka. Miała włoski, jak zboże złociste, a oczki modre, jak habry. Koszulka i kolderka, w którą była zawinięta, były z pięknego, drogiego materiału, a na szyjce, na cieniutkim łańcuszku wisiał złoty medalion.

Ucieszoną zabrała więc ze sobą dziecinę, doszedłszy do Częstochowy, złożyła Matce Jezusa serdeczne dzięki za dar cudowny i wyruszyła w drogę powrotną — do domu.

Minęło 6 lat. Marysieńka — tak bab-

cia nazywała znaną dziewczynkę — była śliczną, grzeczną dzieckiem i bardzo kochała swą babcie, która była dla niej dobra i troskliwa, jak rodzona mateczka.

Dobrze im było razem, choć biednie i obie musiały nieraz ciężko pracować, aby sobie zdobyć wyżywienie i opał na zimę. Zbierały więc w lesie złamane gałązki i szyszki jodłowe, by było czym w chłody napalić w piecu, nosiły do miasta jagody, grzyby i zioła suszone, sprzedawały je, a za to kupowały kaszkę, mąkę i inne potrzebne im rzeczy.

Chatynkę miały ubogą, krzywą ze starości — ale dawała im dach nad głową i dobrze w niej było, gdy w zimie po dworze wiatr hulał niosąc tumany śniegu, bił nim w okna i zasypywał cały świat białymi płatkami, jak puchem.

Siadywały sobie wtedy przy ciepłym kominie, gałązki drzewa paląc się, wesoło potrzaskiwały, kotek Filuś mruczał z zadowoleniem na kolanach Marysieńki, a babcia opowiadała przecudne bajki.

Płynęły dni spokojne, pracowite, ale szczęśliwe. Pewnego lata bieda jednak zastukała w okienko ich chatki. Babcia na wiosnę chorowała, bo dach zaczął przeciekać, dostała reumatyzmu, na lekarstwa wydały wszystkie pieniądze.

Przyszło lato suche, nieurodzajne, powiednych jagód nikt nie chciał kupować, ziół i grzybów prawie już nie było.

Aż nadszedł dzień, że nie było w domu ani kawałeczka chleba i nędza zajrzała do chatki na dobre.

— Chodź, Marysieńko, pójdziemy w świat — rzekła trzęsącym się z osłabienia głosem babulka. — Pójdziemy na Kujawy, gdzie ziemia jest żyzna i piękna. Może tam łatwiej nam będzie wyżyć, czy znaleźć dla siebie zarobek.

Zapakowały więc co miały do koszyczka, przywołały Filusia i tak w trójkę ruszyły w podróż.

Po kilku godzinach wędrowki, przechodząc koło zżętego pola, spostrzegły trochę rozrzuconych kłosów na ścierisku.

— Będzie chlebek, Marysieńko, — zawołała radośnie babunia. — Uzbieramy te kłoski, zaniesiemy je do znajomego młynarza i ten nam zmiele ziarenka na śliczną, białą mąkę. Biermy się żywo do roboty, bo zmrok już się robi, a chciałabym,

abyśmy pozbierały te wszystkie, pozostawione kłosa.

Podśpiewując wesoło, rażno wzięły się do pracy. Plecy wprawdzie bolały od ciągłego pochylania się, ale przyjemnie było pomyśleć, że za to będą miały świętutki, chrupiący chlebek.

W pewnej chwili Marysieńka wyprostowała się, aby troszeczkę odpocząć i oto ujrzała biegnącego w ich stronę, wzmachującego szpicrutą, bardzo rozzłoszczonego pana.

Stała tak przerażona, oczki szeroko otworzyła, a kłosa wypadły jej z rączki. Ze strachu nie mogła ze siebie wydobyć głosu i babcia spostrzegła złoźnika dopiero, gdy stanął przed nimi wymyślając:

Ach wy, włóczęgi przebrzydłe! To przychodzicie kraść na moje pole. Ja was nauczę uczciwości. różgami wymagam. psami wyszczuję! Ja was...

Byłby pewno jeszcze długo krzyczał, ale spojrzał na Marysieńkę i zamilkł.

Spod ciemnej chusteczki spoglądały na niego mądre, pełne łez oczy, maleńka, drgająca twarzyczka była uczciwa i bezbronna, a przy tym, nie... to niemożliwe... Co za przedziwne podobieństwo! Ta bosa, biedna dziewczynka miała twarz jego przed siedmiu laty okrutnie zabitej żony. Jechała końmi z maleńką córeczką do Częstochowy, a w drodze, zbójcy, spodziewając się bogatych łupów, zabili ją i furmana. Dziecko znikło bez śladu. On tylko żył w smutku i zgryzocie, siwizna pobiełowała mu młode skronie, a złość zagnieżdziła się w rozgoryczonym sercu.

Teraz stał oniemiały i nie mógł oczu oderwać od Marysieńki.

Boże, Boże, czy to możliwe? To przecież twarz jego Hani, jego żony najdroższej!

— Kobieto — wyszeptał drżącym głosem — czy to wasza dziewczynka?

— A moja, — odparła, smutnie, zbierając się do odejścia babinka.

— Czy naprawdę wasza... rodzona? — dopytywał się z trwogą i nadzieją w głosie.

— A bo co? — rzekła zaskoczona jego natarczywością, — czego się pan pyta? Powiedziałam, że moja.

— Zginęło mi dziecko przed siedmiu laty... podobna do mojej żony... myślałem... Odwrócił się, by odejść.

I wtedy zrozumiała babulka. Schwyliła go za rękaw i zaczęła pośpiesznie opowiadać historię znalezienia Marysieńki.

Przyniosła potem koszulke kołderkę i medalion, a pan spojrzawszy na nie,

schwylił w objęcia Marysieńkę i wśród łez zaczął powtarzać:

— ...Moja córka, moja córeczka najdroższa... cudownie odnaleziona. To jest moje dziecko jedyne, myślałem, że na zawsze stracone!

I odtąd mieszka Marysieńka ze swą babcia w pięknym domu, ma dużo zabawek, smaczne jedzenie, ojciec ją pieści, a



babcie otacza czcią i opieką, że mu wyratowała córeczkę. Lekarz wyleczył stare kosteczki babci, Filutek ma tłuste boczeki, a tatuś i Marysieńka nie mogą się sobą nacieszyć.

Szczęście i radość zapanowało w domu i wszyscy dziękują Bogu, że tak cudownie kieruje losami ludzkimi.

Z. Starzyńska.

Uczciwy Boles

Boles poszedł do swego przyjaciela, lecz nie zastał go w domu. Nikogo w pokoju nie było. Ale na oknie stał koszyk z gruszkami.

— Jakie piękne gruszki, — pomyślał Boles i już wyciągnął rękę aby wziąć jedną z nich.

— Nie, to brzydko brać cudze rzeczy, — szepnął, — nie ruszę tych gruszek.

W tej samej chwili wszedł ojciec jego przyjaciela z przyległego pokoju. Zarumienił się Boles mimo woli, był bowiem przekonany, że pan Zalewski widział jego wyciągniętą rękę.

Jakie jednak było jego zdumienie i jaka radość gdy pan Zalewski dał mu wszystkie gruszki, jakie były w koszyku.

— Daję ci je dlatego, — rzekł, — że ich sam nie ruszyłeś. Bądź zawsze tak uczciwym, a wszyscy szanować i kochać cię będą!

O słoniu – leniuszku

który nazywał się Toto



3.

TOTO W SZKOLE

Raz tato-Słoń wrócił wesoly
I do Słoniusia mówi tak:
„Dziś zapisałem cię do szkoły!”
Lecz Słoniusiu to nie w smak:
„Nie chcę się uczyć! — z płaczem woła —
brzydka, niedobra, zła jest szkoła!”

Lecz tato go nie słucha wcale.
Kupiwszy książki Słoniusiuwi,
prowadzi go na szkolną salę
i mówi Nauczycielowi:
„Oddaję panu synka mego,
by się nauczył tu wszystkiego!”
„Nauka — nie są to zabawki —
rzekł nauczyciel — poznasz sam!
Teraz cichuiko siądz do ławki —
masz miejsce w drugiej ławce tam.
Ten kto się uczy pracowicie,
ma potem bardzo dobre życie!”
Niegrzeczny Toto trąbką macha —
w szkole tak się godzinę włoką!
Ale już wcale nie ma stracha —
nad czymś zamyślił się głęboko —
o, on wnet jakiś figiel spłata,
o którym się nie dowie tato!
Na to ma taki nosok długi,
by jakąś psotę zrobić wnet:
już atramentem leje strugi
na swego towarzysza grzbiet!
Sypnął mu nauczyciel bure,
a tato w domu dał mu w skórę...

4.

UCIECZKA TOTA

W hamaku raz usnęła mama,
a Toto bawił się piłeczką.

Wtem ujrzał, że otwarta brama!
Próżno odradza mu Słoneczko
Małpka wznosi wielki krzyk —
Słonius popędził... wybiegl... znikł!
Swoboda! wolność! Nie ma szkoły!
nikt już nie każe uczyć się!
Toto szczęśliwy i wesoly
nie wie, jak bardzo robi źle!
Nie wie ile go cierpień czeka —
tylko ucieka i ucieka!
Wreszcie się zmęczyl — więc pod
drzewem

zadowolony usiadł sobie —
cieszy się barwnych ptaszków
śpiewem,
do Słonka podniósł łapki obie:
„Jestem szczęśliwy i wesoly —
nigdy nie pójde już do szkoły!”
Potem w głęboką poszedł puszcę
I długo!!! długo szedł wśród drzew—
słyszał, jak srebrna rzeczka pluszcze...
Nagle zaryczał z dala lew...
Ach, jakże się przestraszony Toto —
Pędzi przez krzaki, wodę, błoto...
Pędzi, ucieka ile sily —
wreszcie las skończył się — i oto
wielkie się wody roztoczyły:
pierwszy raz morze ujrzał Toto!
O, morza wcale się nie boil
A tam — u brzegu — okręt stoi...

W. Zechenter

